Wydano z dubletów

PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 26 (195)
WARSZAWA
1 LIPCA
1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

ELIZA ORZESZKOWA — OPOWIEŚĆ O WIELKIM KRÓLU SALOMONIE
ROMAN KOŁONIECKI — LABORATORIUM TANIEGO OPTYMIZMU
ZBIGNIEW JASIŃSKI — NIEPROPAGANDOWA PROPAGANDA
JAN BRZĘKOWSKI — MALARSTWO MAXA ERNSTA
JÓZEF CZECHOWICZ — NOC

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

ODWIECZNIE POLSKA

Postulat uspołecznienia literatury, wysuwany w latach ostatnich nie tylko z obozu krytyki ale i ze strony samych twórców, był nawoływaniem, aby literatura wyszła z zaklętego koła estetycznego odosobnienia, aby z ziemi tej „co nie dotknęła ziemi" (Norwid), zstąpiła na grunt realności by wespół z innymi dziedzinami twórczej myśli stanąć do pracy około gospodarstwa domowego Ojczyzny. „Śpiewajcie o pracy ludzkiej, o roli, o fabrykach, o miastach, o młynach, o wielkich ludziach i o znakomitych czynach" — wołał przed pięcioma laty Jalu Kurek w interesującym manifeście, poprzedzającym jego *Śpiewy o Rzeczypospolitej*. Jedną z „blizn dotkliwych", od dawna czekających na uważne spojrzenie pisarzy, był sierocy los polskości za naszą północną i zachodnią granicą. O Mazurach i Śląsku pisano dotychczas uczone rozprawy, udokumentowane monografie, ale prace te, obliczone na określony użytek, trafiające do rąk fachowców, nie zdołały wywołać szerszego rezonansu i utrwalić się w opinii publicznej. Tylko dzieło pisarza, działające nie tyle wymową zebranego materiału rzeczowego ile raczej sugestią, może wrosnąć w myśl najszerszych warstw jako jej nabytek niezniszczalny. Ostatni sezon wydawniczy przyniósł nam bogaty plon dwóch odkrywczych wypraw pisarskich w tamte właśnie tereny: *Na tropach Smętka* Wańkowicza i *Na Śląsku Opolskim* St. Wasylewskiego (wyd. Instytutu Śląskiego, Katowice 1937). Bez przesady można powiedzieć, że dopiero ci pisarze odkryli te wielkie skupiska polskości dla świadomości ogółu. Publikacje tego rodzaju to czyn społeczny o wartości wprost nieocenionej. Obie są owocem nie tylko skrzętnego studiowania źródeł ale i bezpośredniej obserwacji. A jakkolwiek żadna z nich nie należy do literatury *sensu stricto*, to przecież prawdziwy temperament pisarski obu autorów podnosi je do rangi artystycznej.

Nazwa „Śląsk" wywołuje w naszej pamięci obraz ziemi, czarnej od węglowego pyłu, pooranej żyłami odkrywek i nierównościami hałd, najeżonej iglicami kominów fabrycznych, na których niby na gigantycznej kolumnadzie wspiera się niebo, obciągnięte ciężką zasłoną dymu. A jeśli już spojrzymy na tę krainę oczyma uwolnionymi od tego najprostszego skojarzenia, zjawi się przed nami pełna uroku Istebna czy wtopiona w zieleń świerków Wisła... Śląsk Czarny i Zielony. Te nazwy nie są martwymi tylko epitetami, które ostały się w mowie wskutek długowiecznego nawyku — zawiera się w nich w skrócie najlapidarniejszym i najprościej rzecz ujmującym charakter tych połaci kraju. Olbrzymie pracowisko, nieustannie zasilające energią wszystkie dziedziny życia Rzeczypospolitej, i rozległe łąki wydźwignięte na zbocza Beskidu — jakby stworzone dla odpoczynku i wytchnienia. O Śląsku, którego emblematem jest kolor najskromniejszy, bo biały, pamiętamy najrzadziej. Rozciągnięty na otwartych równinach Przyodrza, bielejący ścianami chałup i bierwionami drewnianych kościółków, których przytuliło się tutaj do żyznej ziemi tyle jak nigdzie w reszcie Polski, — pozostał dla nas prawie nieznany. Słusznie stwierdza Stanisław Wasylewski w pierwszych niemal słowach swej pięknej monografii, że o Śląsku Białym, Opolskim, najmniej się wie i najrzadziej mówi.

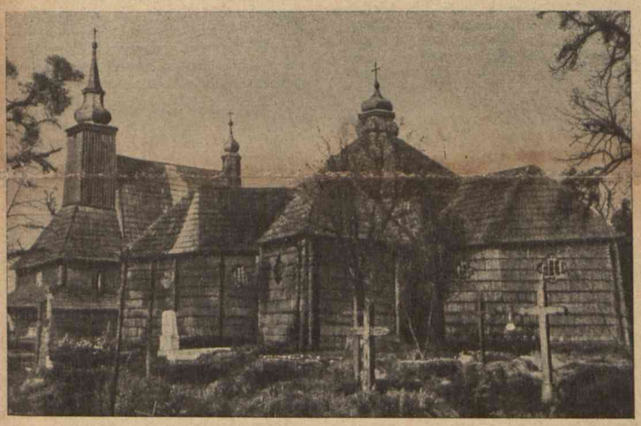

KOŚCIÓŁ W OLESNIE

I to nie tylko dziś. „Dlaczegóż w Poznaniu nas Górnoślązaków lekce poważają" — żalił się w liście do Libelta Józef Lompa, prawdziwy ambasador Śląska w drugiej połowie ub. wieku. Od długich stuleci wyłączony poza nawias państwowości polskiej wskutek doraźnych interesów czy konieczności, pozostawiony samemu sobie, już od wczesnego średniowiecza szedł Śląsk oddzielną od reszty Polski drogą. „Gdy inne granice — mówił Józef Piłsudski w r. 1922 w Katowicach — były świeże i istniały od jednego wieku zaledwie, ta istniała od dziesiątków i dziesiątków pokoleń, które żyły i umierały z tym przekonaniem, że jest ona trwałą, niezłomną". Podziw prawdziwy ogarnia, gdy sobie uświadomić, że mimo długotrwałych prześladowań politycznych i planowej kolonizacji polskość Śląska pozostała prawie niezachwiana do dziś. Niezmożeni autochtonowie-sublokatorzy na ziemi swojej od wieków, przetrwali na swych ojcowiznach nietknięci obcą kulturą mimo tysiącletnich jej wpływów. Upór, z jakim Ślązak w latach 1919 — 21 po trzykroć powracał do walki zbrojnej, sami Niemcy przyrównali do działania wody zaskórnej — tak był ciągły, żywiołowy i niespodziewany.

Budzenie świadomości plemiennej postępowało zresztą powoli. Dusza tych Polaków, najstarszych z mowy, obrzędu i tradycji, ale z uświadomienia narodowego najmłodszych, ugorowała przez długi czas. Poczucie łączności z Macierzą sięga w przeszłość nie głębiej niż do trzeciego, czwartego pokolenia. Bywa nierzadko, że budzi się dopiero dziś. Proces ten wezbrał na sile równocześnie z postępem germanizacji, jak echo wzrastające wraz z natężeniem głosu. Przykładem nieustępliwości plemiennej Opolan może być ich stosunek do kolonizacji niemieckiej, którą zaczęto systematycznie prowadzić od połowy XVIII wieku. W ciągu lat 50-u liczba osadników osiągnęła sumę 170 tysięcy, nie licząc urzędników Niemców. W porównaniu z 600 tysiącami tubylców jest to procent olbrzymi. A przecież wieś opolska do dzisiejszego dnia pozostała niezachwiana w swej mowie odwiecznej i obyczaju. Gorzej było w miastach, które dziś prawie całkowicie zamieszkane są przez napływową ludność niemiecką i tak przeniknięte jej duchem, iż trudno uwierzyć, że ostateczna ich germanizacja dokonała się mniej więcej przed stu laty dopiero. Germanizacja, trafiająca na wsi na grunt tak oporny, w okręgu przemysłowym postępuje szybciej. Inżynierowie i sztygarzy tłumią polskość górnika na każdym kroku. Upośledzenie gospodarcze Śląska Opolskiego w porównaniu z resztą Rzeszy hamuje w pewnym sensie postępy germanizacji, stwarzając nastrój nieprzychylny dla niemczyzny. Z drugiej jednak strony, brak inteligencji polskiej i oportunizm pozostałych jej resztek, szczególnie kleru, pozostawia górnika i chłopa zdanych na wła-

KOBIETY Z ROZBARKU

41003 | 46 | 658

sną wyłącznie wolę wytrwania. Przed wojną procent inteligencji był znacznie większy. Po podziale zaznaczył się masowy jej odpływ do polskiej części Śląska. Niektórzy musieli wyjechać skompromitowani w oczach władz wskutek działalności politycznej, najczęściej jednak emigrowano aby trudne życie za kordonem zmienić na swobodniejszy żywot w województwie śląskim. Z małymi wyjątkami zanikł już — zdaje się niepowrotnie — typ działacza w stylu wspomnianego już Lompy, pierwszego budziciela utajonej polskości Opolan, który trwał na swej placówce oddany heroicznej zaiste służbie, mimo że władze za wszelką cenę starały się usunąć go z terenu.

Jak uintensywnienie germanizacji zbiega się w czasie z postępem regeneracji polskości Śląska, tak przedziwnym zbiegiem losów niszczenie ostatnich śladów po piastowskich władcach tej ziemi przyczyniło się do wydobycia spod zwalisk świadectwa, które zadokumentowało pradawną jej słowiańskość. Przy kopaniu fundamentów pod gmach rejencji, który miał stanąć na miejscu zburzonego zamku piastowskiego, natrafiono na starosłowiańskie grodziszcze. „Ten sam instynkt niszczący, który w r. 1930 tryumfalnie wywłaszczył ruiny zamku piastowskiego w Opolu, natknął się przy uprzątaniu gruzów po pracowicie rozwalonym zabytku... na dokument-metrykę tej ziemi" — jak to pięknie formułuje Wasylewski. Powiedzmy więcej: wykopalisko sprzed lat co najmniej tysiąca zaświadczyło nie tylko o przynależności plemiennej tego kraju, ale i o jego kulturze. To przedhistoryczne Opole było miastem w naszym rozumieniu: składało się z pomieszczeń mieszkalnych, warsztatów rzemieślniczych i składów handlowych. W Opolu dzisiejszym wciąż natrafiamy na jakieś ślady kultury wczesno-historycznej.

Udział Śląska w kulturze polskiej jest w dobie późniejszej niemały. Tu, w Henrykowie pod Wrocławiem, zapisano po raz pierwszy (w r. 1270) całe zdanie po polsku. Z Wrocławia pochodzi pierwszy druk polski. Na Śląsku Dolnym, w Kładzku, tuż nad granicą czeską, powstała (w r. 1398) najpiękniejsza księga średniowiecza: Psałterz, Floriańskim potem zwany. Stąd pochodził Witelo, rówieśnik Tomasza z Akwinu, autor traktatu o perspektywie, który zawierając odkrywczą na swój czas teorię widzenia wyprzedzał psychologię nowożytną. Tu Jan Dzierżoń, „książę pszczół na Katowicach", jak go nazywano w prasie niemieckiej, dowiódł partenogenezy u pszczół. Z bogatej kroniki kulturalnej Śląska podano momenty najcharakterystyczniejsze — ważne nie tylko dla polskiej myśli.

Politycznie między trzy państwa rozdzielony, stanowi Śląsk kraj jednolity przede wszystkim pod względem narodowościowym, ale także jako zespół uzupełniających się wzajem rejonów o różnym stopniu uprzemysłowienia. O odrębności Śląska Opolskiego można mówić tylko w sensie przeciwstawienia krainy rolniczej zagłębiu kopalń i hut.

Choć jesteśmy rozerwani twymi kordonami,
Po Brynicy obu brzegach my zawsze ci sami

— śpiewał rapsod tej ziemi, górnik, Maksymilian Jasionowski. Troszcząc się o jutro Śląska, powiada inny jej piewca, Norbert Bonczyk: „Ziemio, dokąd swój język kochasz, bądź spokojna". Umocniłby się sam w tym spokoju, gdyby zobaczył, że dziś jego poemat *Kościół Miechowski* jest dla młodzieży opolskiej elementarzem świadomości narodowej. Na pół wieku przed ukazaniem się tej książeczki prorokował radca Benda z Opola: „Pewny jestem, że nie trzeba więcej niż pół wieku, aby w tej niemieckiej prowincji zupełnie wygubić język polski". Trwa ten język do dziś nie tknięty prawie przez obce wpływy. Badania dialektologów wykazały, że wpływ niemiecki jest nieznaczny, w pewnych rejonach Opolszczyzny mniejszy nawet niż w innych dzielnicach kraju. Na wsi opolskiej, w „sędziwym mateczniku polszczyzny", wśród dziesiątków drewnianych kościołków trwa do dziś — niespożyty i niezmienny jak krajobraz tej ziemi. Wkorzeniony w grunt mocno jak owe lipy, które znaczą drogę pochodu króla Jana, gdy, śpiesząc pod Wiedeń, przez Odrę się przeprawiał. Opolszczyzna, mimo długowiecznego nacisku obcej kultury, mimo teroru, po dziś dzień zachowała swój charakter w stanie nieskażonym. Uparta jak lud tamtejszy. Niezmożona. Odwiecznie polska.

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

JÓZEF CZECHOWICZ

N O C

Bursztyn w gąszczu żęginów
błyski rzuca sowite.
A ty? Tylkoś bursztynu
cieniem w liście spowitym.

Kwiaty żółte w ciemności
rozzłociły się mocno,
pachną snarwy i brościch
lunnie, ciężko i mroczno.

A ty? Jakbyś przez zieleń
gwiazdom kłaniał się patrząc,
że nad rogiem jelenim
ledwo, ledwo majaczą...

I pogasły. I w kniei
bursztyn jarzy się nisko,
zanim w gwizdku kolei
zgaśnie.

A ty? Wzbijesz się z trawy,
gdy wiatr świtu się zerwie
błękitnawy, łaskawy,
i rozchwiejesz się w czerwiec...

ELIZA ORZESZKOWA

OPOWIEŚĆ O WIELKIM KRÓLU SALOMONIE, PIĘKNEJ SULAMIT
I MĄDREJ KRÓLOWEJ SABIE

W olbrzymim bogactwie korespondencji Elizy Orzeszkowej, wydawanej obecnie przez Towarzystwo Jej imienia, znajduje się między listami powieściopisarki do prof. Tadeusza Garbowskiego, współautora powieści, *Ad Astra* niezmiernie interesujące credo życia głębokiej myślicielki. W formie poetyckiej przenośni Orzeszkowa wyznaje swój stosunek do rzeczywistości, który da się zawrzeć w trzech słowach: „marność", „znikomość", „nieświadomość". Ale chociaż istnienie jest męką i utrapieniem, bo wszystko na świecie zawodzi, chociaż nawet miłość nie może przezwyciężyć goryczy życia, nie wolno człowiekowi upadać na duchu. Praca i wiedza oparte na cierpliwości — a dla wybranych twórczość — stanowią nigdy niewyczerpane źródła szczęścia i pociechy.

Fragment poniższy, rzucający wiele światła na filozofię życiową Orzeszkowej, wejdzie do drugiego tomu jej listów.

IZA KUŹMIŃSKA

10/IX 1899, Grodno.

Król Salomon, mędrzec, jak wiadomo, nieporównany, znajdował się w momencie pisania dzieła swego, któremu przyszłość dać miała nazwę *Księgi Ecclesiasty*, a którą on zatytułować zamierzał *Epitalamium na zaślubiny Pesymizmu z Melancholią*. Siedział król Salomon w pałacu swoim na krześle z kości słoniowej i, na złotym stole, złotym, piórem wysadzanem szmaragdami, karty pergaminu okrywał strofami następującemi:

Marność jest klątwą ziemi syna,
A działem jego nieświadomość,
A losem jego dzień — znikomość,
A imię jego proch i glina.

Próżno się kusi wzlecieć duchem
Z pyłu, gdzie trawi go tęsknota;
Próżno się zrywa i szamota
Skowan glinianych pęt łańcuchem.

Dnie jego są jak dnie najemcy,
A jak sęp głodny jego serce,
I w wiecznej z sobą on rozterce,
I nie masz, nie masz dlań rozjemcy.

I cóż ma człowiek z trudu swego.
I z prac tych, które wszczął pod słońcem.
Czas jego pędzi szybkim gońcem;
Znikł — a nie widział nic trwałego.

Rozkosz i ból, co pierś nam wzdyma,
Mijają tak, jak szybkie łodzie;
Chwil kilka drży ich ślad na wodzie —
Uciekły już i — i już ich nie ma.

To napisawszy król Salomon uczuł się nadzwyczajnie smutnym, zwątpiałym, zniechęconym, zrozpaczonym, że pióro szmaragdowe z palców wypuściwszy wstał znad złotego stołu, rozdarł na sobie szaty i w szatach rozdartych wyszedł z pałacu marmurowego sam jeden bez świty, idąc, idąc, idąc kędy oczy poniosą. Poniosły oczy króla Salomona ku szczytom porosłym cedrowemi i figowemi drzewami, w których cieniu usiadł i zaczął sobie głowę, z której przedtem już zrzucił był koronę, prochem spod stóp cedrowych branym posypywać. Posypywał głowę prochem, w ten sposób dalej Pesymizmu z Melancholią zaślubiny wysławiając.

Wirują światy w rączym pędzie
Wiecznym swym torem bez wytchnienia;
Tak było w pierwszym dniu stworzenia,
Tak jest i dziś — tak zawsze będzie.

Do morza wodę znoszą rzeki,
To zaś je znowu chmurom zwraca;
Od wieków trwa ta próżna praca,
I będzie trwać po wszystkie wieki!

Do podmogilnych dążąc wczasów
Kroczy wciąż ludzkość bez przestanku;
Tak było w pierwszych dni poranku,
Tak będzie aż do końca czasów!

Plon zgonów płonie żywot łasy,
I powrót śmierci plon oddawa;
Tak chcą przyrody trwałe prawa,
Po wszystkie wieki, wszystkie czasy.

To, co istnienia zwiem imieniem,
Co zwiem poczęciem i konaniem,
Jest tylko prochów wirowaniem,
I męką — ciał i utrapieniem!

Tu odstąpiła króla Salomona nawet zdolność do wierszowania i począł tylko nieustannie usty, sercem i myślą powtarzać: „*Vanitas vanitatum! Vanitas vanitatum*" etc., etc. (Wiele przemawia za tem, że powtarzałby: „*Tout passe, tout casse, tout lasse*", ale przypuszczać należy — choć historia nic o tem nie mówi — że po francusku nie umiał. Wątpliwem jest także czy umiał po łacinie, lecz w braku innego tekstu, ten powszechnie przyjętym został). „*Vanitas vanitatum!*" powtarzał tedy król Salomon i już nawet prochu nie sypał sobie na głowę, która, tak jako i ręce, spadła bezwładnie. Był — unicestwiony!

Wtem, o dziwy! — spomiędzy cedrów obrastających górę Libanu, z cienia ich, pełnego przedtem głuchej ciszy i znojnej spiekoty, dobył się naprzód szelest, jako stąpanie łani lekki i płochliwy, a potem wzbił się śpiew, który nutami ze srebra i kryształu wołał.

O, gdzieżeś jest — tak wołał rzewny —
Kochany mój — choć dziś nie znany,
Wszystką mi duszą ukochany,
Tęsknotą serca mi pokrewny.

Ja nie znam ciebie — ale czuję,
Woń kwiecia mi o tobie gada,
Śpiew ptasząt mi cię zapowiada,
Krzyk duszy ciebie mi zwiastuje...

Jam tobie, a tyś mnie potrzebą,
I rozłączeni w łzach ustajem,
Jak palmy dwie, co tęsknią wzajem,
Przez wszystkie stepy, wszystkie nieba.

Bo krzywość świata i zawiłość
W tęsknotach dzieci ziemskie miota,
Gdy je ominie zdrój żywota,
Mądrość mądrości wszystkiej — miłość!

Jeszcze nie przebrzmiały strofy te, gdy król Salomon stał już u skraju cedrów, w cienie ich ciekawy i zachwycony wzrok zatapiając. Tego się nie spodziewał. Mądry był, a nie wiedział, że zarówno gromy, jak promienie losu spadają niespodziewanie, nigdy nie wiedzieć kiedy i skąd. Zachwyt jego stał się większym jeszcze, gdy ujrzał wychodzącą z cieniu cedrów postać śpiewaczki... Jaką była, zbyt długo opisywać i dość powiedzieć, że była to Sulamit i że król Salomon bardzo wkrótce, po jakiejś rozmowie zapewne, o której przecież milczą dzieje, strofom Sulamity, następnemi strofy odśpiewywać zaczął:

Ze lwiego do mnie zeszła jaru
Od słońca złota, cała wdzięczna,
Jako lipcowa noc miesięczna,
Przerozkosznego pełna czaru.

Była jak zorza w swej ozdobie,
I jako srebrny księżyc — czysta,
I jako słońce — promienista,
I wszelką wdzięczność miała w sobie.

Warkocz jej czarność miał hebanu,
A zęby pereł drogich białość,
A kibić palmy okazałość,
A szaty miłą woń Libanu etc., etc., etc.,

Aż na koniec cedry Libanu, i szczyt Syjonu, i najbardziej samo serce króla Salomona, rozbrzmiało triumfalnym, przez szał radości w wicher zmienionym krzykiem *Pieśni nad pieśniami:*

Pląsaj Karmelu, skacz Libanie,
Klaskajcie góry i doliny,
Bo otom znalazł skarb jedyny,
I w nim jest moje ukochanie.

Ze snu się strugo zbudź w parowie,
I nieś mój psalm Jordanu fali,
A Jordan morzu niech go chwali,
A morze, wszystkiej ziemi powie.

Wstań wietrze luby, wiosny dziecię,
Weselem przepasz wszystkie góry,
I zbudź słowików wszystkie chóry,
I rozkwieć wszystko dolin kwiecie.

Niech płyną śpiewy i wonności,
Niech tętni zewsząd psalm zachwytu,
Bom znalazł klucz zagadki bytu,
I owoc dan mi jest w mądrości!

Odpowiedzialność za zgodę brzmienia strof powyższych z tekstem Salomonowym spoczywa na tłumaczu tekstu tego, poecie zrodzonym w 19 stuleciu ery Chrystusowej na ziemi łez i mogił, a noszącym imię Włodzimierza Zagórskiego. Jakkolwiek bądź, taką to jest historia powstania słynnego utworu poetyckiego, który nosząc miano *Pieśni nad pieśniami* przenika długie wieki i tonem najwyższej radości i rozkoszy życia, a napisanym został tą samą ręką, wyśpiewanym z tej samej piersi, które napisały i wyśpiewały *Księgę Ecclesiasty* przenikającą długie wieki tonem najostrzejszych i najgłębszych bólów i rozpaczy. Stąd wniosek: że zmiennymi są i los, i człowiek, a także, że drugi zawsze choć trochę ufać pierwszemu powinien. Kto wie, kto przewidzi, kiedy nadejdzie moment zaśpiewania:

„Pląsaj Karmelu, skacz Libanie".

Ale to jeszcze nie wszystko. Dotąd mówili egzegeci, mężowie bardzo uczeni, ale pedanci, nie wszystko o życiu i sercu człowieka z pergaminów spróchniałych wyczytać mogący. Przyszli po nich członkowie rodu nierównie przenikliwszego, poetami zwani, i odkryli w życiu Salomonowem jeszcze jeden epizod, w którym z dalekiego Wschodu przybyła do niego królowa Saba i przywiozła mu trzy dary: myrrę, złoto i kadzidło. Po co przybywała z tak daleka i co te dary, nie przedstawiające dla tak wielkiego mocarza nic osobliwego, znaczyć miały? Nie odgadli tego uczeni badacze tekstów starodawnych, wytłumaczyli poeci. Za pomocą najostrzejszego z narzędzi analitycznych nazywającego się intuicją poetycką dowiedzieli się oni, że i Sulamit, chociaż „jako srebrny księżyc czysta i jako słońce promienista", niedługo wielkiemu sercu, a większemu jeszcze umysłowi Salomona za „skarb jedyny" starczyła. Była to podobno, w „szatach mających woń Libanu (i w dodatku mile szeleszczących, czyli szurszących), osóbka dość płytka i mało duchowi wielkiemu do pary będąca. Więc król Salomon, po dostatecznem napatrzeniu się na „włosy z hebanu" i „kibić palmową", znowu na gorzką nutę coś nucić zaczynał, gdy dowiedziała się o tem królowa Saba i na ratunek przywiozła mu trzy dary: myrrę, czyli balsam dobywany z pracy i wiedzy, złoto, czyli cierpliwość dobywającą metale cenne z nikczemnej rudy ziemskiej, i kadzidło, czyli tę lotność ducha, która dymem i wonią poezji i ofiary z tego świata nędzy i mąk ku niebiosom czystości i odpocznienia — (urojonym może, lecz może też i istotnym, skoro obraz ich wyobraźnia ludzi niektórych na świat ze sobą przynosi) — porywa (styl w tem miejscu pozostawia nieco do żądania) i jeżeli nie zbawia, to wzmacnia, jeśli nie uszczęśliwia, to pociesza. To tylko jest pewnem, że król Salomon otrzymawszy dary królowej Saby, jakkolwiek i do Sulamity nawet rozczarowany, żył, świątynie wspaniałe budował, księgi mądrości pisał, aż uczynił tak, jak czynią wszyscy — to jest umarł, z tą tylko od wszystkich różnicą, że umierając wiedział, że żył nienapróżno i że duch jego na świat metafizyczny wejdzie nie jako źdźbło znikomego prochu, lecz jako twór, który przez moment pobytu swego w świecie trzywymiarowym tak wzrósł w godności i chwale, że mieszkańcem czterowymiarowego świata być — stał się godzien.

Więcej — o królu Salomonie i dziejach jego — nic już nie wiem.

ELIZA ORZESZKOWA

ROMAN KOŁONIECKI

LABORATORIUM TANIEGO OPTYMIZMU

Dookoła „Krzyżowców" i problemu powieści katolickiej

Sprawa problematyki katolickiej w powieści i literatury katolickiej w ogole jest u nas od lat kilku coraz częściej omawiana na łamach czasopism i coraz większą rolę odgrywa w naszym życiu kulturalnym. Nie wszystkie głosy w tej sprawie posiadają odpowiedni poziom i wartość. Tak np. wypowiedzi *Verbum* czy *Kultury* niesposób porównywać z wywodami *Myśli Polskiej* lub *Prosto z Mostu*, gdyż zbyt wielka zachodzi tu dysproporcja. Artykuły J. M. Święcickiego w majowym i czerwcowym numerze *Przeglądu Powszechnego* („Postawa duchowa Szczuckiej w *Krzyżowcach*" i „Pesymizm Szczuckiej w *Krzyżowcach*") w pewnych swych aspektach nie stoją, niestety, o wiele wyżej, niż artykuły ostawionego Napoleona z Myślenic, Doboszyńskiego, jakże łudząco podobnego do swego pierwowzoru z chestertonowskiej powieści! Zarówno przeprowadzona przez Święcickiego ocena dzieła Szczuckiej, jak i wysunięte przez niego przy sposobności twierdzenia ogólne oparte są na argumentach tak słabych i pełnych sprzeczności, na przesłankach tak dalece spornych, że trudno na enuncjacje te nie reagować: zagadnienia, których autor dotyka, są zbyt istotne i aktualne.

Święcicki rozprawia się z *Krzyżowcami* jako z powieścią historyczną i zarazem powieścią katolicką. Zarzuca Szczuckiej, że niewolniczo trzymając się źródeł stworzyła zwyczajny faktomontaż historyczny, podyktowany ideą odbrązowienia krucjaty. Atakuje nie tylko artystyczną wartość książki, lecz także — i przede wszystkim — jej założenia ideowe, które uważa za niezgodne z „postawą katolickiej duszy" i „zmysłem katolickim". W rezultacie, zdyskwalifikowawszy najpierw *Krzyżowców* jako dzieło sztuki, odmawia im miana powieści katolickiej (co prawda, nie formułując tego nigdzie bezpośrednio) i przestrzega przed możliwością zgubnego ich oddziaływania na psychikę katolickiego czytelnika. Jak z tego widać, w wytoczonej przez Święcickiego batalii krytyckiej zastosowane zostały nie tylko zwykłe kulomioty, ale i działa dalekonośne. Nam przypada teraz w udziale trudna rola korespondentów wojennych.

Zastanawiając się nad niezwykle ponurym kolorytem monumentalnego fresku historycznego Szczuckiej, Święcicki przyszedł do przekonania, że winę za to ponosi zbyt prymitywne uzgadnianie wizji poetyckiej z przestudiowanymi materiałami historiograficznymi. W zestawieniu z tym dziwić musi inny zarzut recenzenta: że niektórzy bohaterowie Szczuckiej są „*pono* sportretowani niezbyt zgodnie z historią". Widocznie uważa on autorkę *Krzyżowców* za świadomą pomniejszycielkę krucjaty, która po prostu tendencyjnie adaptowała pewne źródła historyczne, pewne inne zaś celowo pominęła; wymieniając dla przykładu kilka książek o wyprawach krzyżowych, twierdzi, że nie wynika z nich wcale tak upiorny obraz krucjaty jak u Szczuckiej. Zarzut powyższy przestałby być zarzutem, gdyby Święcicki wziął pod uwagę, że jest to wyłącznie sprawa odpowiedzialności artystycznej pisarki; ale on właśnie odmawia Szczuckiej postawy rasowego epika, przypisuje jej natomiast postawę historyka-krytyka wobec opisywanej rzeczywistości, a przy tym niegodny prawdziwego pisarza narów myślenia nagimi faktami. Tak jednak nie jest.

Odtwarzając krucjatę jako pasmo straszliwych zbrodni i straszliwych cierpień, a równocześnie odnosząc się do niej jako do wiekopomnej epopei chrześcijaństwa — Szczucka postępuje konsekwentnie, gdyż sprzeniewierza się zawodnej wymowie samych tylko faktów i daje w ten sposób dowód, że potrafi odróżniać prawdę kronikarską od prawdy historiozoficznej. Wyrusząjąc na połów świętych w masę szarego żołnierstwa krzyżowego (jak radzi jej krytyk z *Przeglądu Powszechnego)*, Szczucka mogłaby może odmalować krucjatę w barwach nieco jaśniejszych: jednak nie jest to pewne. Święcicki twierdzi, że elita krzyżowców była wątpliwej wartości i że złoża prawdziwej wielkości moralnej tkwiły w wielotwarzowych tłumach — popada jednak w sprzeczność, gdyż przytacza później z aprobatą wiarogodne świadectwo Macaulay'a, który widzi wielkość tylko w oligarchii rycerskiej średniowiecza, wśród wodzów i chorążych krucjaty.

Jedną z wad artystycznych *Krzyżowców* jest istotnie schematyzm w budowie poszczególnych postaci: wydaje się, jakby Szczuckiej brak było głębszej intuicji psychologicznej, która pozwoliłaby jej stwarzać figury bez wyjątku plastyczne i pełne. Ale Święcicki w tej przyrodzonej ułomności pisarki dostrzega również — tendencyjność: „Katolicy (u Szczuckiej) są zawsze stroną niższą i niegodniejszą". Kubek w kubek to samo, co w zeszłym roku zarzucał Doboszyński Mauriacowi! Ale ani on ani Święcicki nie zdają sobie sprawy, że ze słusznością o wiele większą można by ten zarzut zwrócić w stronę Sienkiewicza (którego Święcicki tak nieopatrznie wywyższa ponad Szczucką) jako autora *Quo vadis*, gdzie postaci Petroniusza, Nerona i Eunice są znacznie pełniejsze, bogatsze w plastykę i ekspresję, niż np. postaci Winicjusza i Ligii. Ale—może *Quo vadis* nie jest powieścią katolicką?... Bo i tu przecież „dobro... wychodzi papierowe, blade, nieludzkie". Może rację miał Bernanos, gdy mówił, że tylko zło dla artysty jest wizją ciekawą i urzekającą, dobro zaś wydaje się nudne i bezbarwne *(Pod słońcem szatana)*. W arcydowcipnej metaforze Shawa widzimy Komandora, przychodzącego z wizytą do piekła, gdzie przebywa Don Juan — bo w niebie monotonia i czczość. Pamiętamy chyba także przepyszną urodę rzeźbionych szatanów Vigelanda. Diabelskie paradoksy — precz! Już słyszę, jak się w Polsce rozlega parafraza ironiczno-żartobliwego okrzyku Bajkowskiego, wygłoszonego z łamów *Prostu z Mostu:* „Córuchno, nie czytaj Szczuckiej i... Sienkiewicza!"...

Szczucka nie odbrązawia wcale krucjaty — jak się to wydaje Święcickiemu, — widzi całą wielkość moralną, jakiej się wśród jej łun i popiołów dopracowało średniowieczne rycerstwo. Najpiękniejsze kwiaty wojennej cnoty, najdroższe klejnoty religijnego zapału, które w ludziach pochód przez Ziemię Świętą wyszlifował, świadczą chyba dostatecznie o tej skali heroizmu, którą Szczucka wyprawę krzyżową mierzy. Święcicki uważa to wszystko za skorowidz cnót niejako „cywilnych", kwitnących bez udziału wiary, choć w innym miejscu sam za najwyższą zdobycz moralną wojny uznaje „heroiczne wyniesienie się ponad cierpienie i śmierć". Oto, jak widać, nowa sprzeczność w kruchych jego wywodach.

Przedstawiając cały bezmiar zła, rozplenionego przez krucjatę, Szczucka jednak jej nie potępia. Jest w tym niekonsekwencja jedynie pozorna. W jej katolicyzmie bezmiar miłosierdzia Bożego zdolny jest zrównoważyć zawsze bezmiar człowieczych grzechów: krzyżowcy dostępują zbawienia pod murami Jerozolimy, czego widomym znakiem staje się cud: — umarli pomagają żywym w decydującej bitwie, ostatniej przed progiem zwycięstwa! Ma rację Święcicki, że ta wiara autorki nie została wpleciona w samą fakturę epicką *Krzyżowców*, znajdując upust jakby między wierszami, w luźnych wstawkach frazeologicznych. Ale jest to znowu zarzut natury czysto artystycznej, nie godzący ostrzem w postawę duchową pisarki.

Jeżeli miarą artyzmu w powieści katolickiej uczynimy wizję utajonego działania łaski Bożej w duszy człowieka — to tym samym postawimy pisarzowi cel nieosiągalny: chwila działania łaski jest przecież stanem pozaludzkim, jest mistycznym uniesieniem ducha, który osiąga już ostatnie szczeble świętości. Jak to opisać, jak odtworzyć? Nawet pisarz tak świetnie obznajmiony z całą literaturą mistyczną świata, jak Bernanos, rezygnuje z góry z wszelkich prób oddania tej wizji łaski, nawiedzającej po kryjomu duszę (zwrócił mi na to uwagę Rafał Blüth). W jego *Dzienniku wiejskiego proboszcza* w kilku miejscach spotykamy strony wykropkowane: mają one — jako wybieg artystyczny — symbolizować kartki wyrwane z pamiętnika bohatera, ale z dalszego ciągu lektury czytelnik domyśla się łatwo, że w bohaterze Bernanosa zaszedł jakiś ogromny, tajemniczy wstrząs, — że zaszła w nim wielka przemiana duchowa. Tylko że artystyczna rekonstrukcja tej przemiany wydawała się Bernanosowi zadaniem nie tylko przerastającym najśmielsze aspiracje jego talentu pisarskiego, ale w ogóle niemożliwym do wykonania. Z tym samym przeświadczeniem musi się spotkać każdy pisarz katolicki, który chciałby napisać powieść o świętym.

Szczucka — idąc w tym niejako za Biblią — znakiem zbawienia krzyżowców uczyniła cud, chwilę jedną — taką jak chwila nawrócenia się św. Pawła u bram Damaszku, jak chwila namaszczania wonnym olejem stóp Zbawiciela przez jawnogrzesznicę Magdalenę, jak chwila skruchy ukrzyżowanego łotra... Odkupienie wszystkich nieprawości krucjaty, w taki właśnie kształt artystyczny przyobleczone, nie zadowala surowego krytyka *Krzyżowców*, mimo że tak je chwali cytowany przez niego J. Birkenmajer. W końcowym ustępie powieści Szczucka podkreśla bardzo wyraźnie przełomowe znaczenie krucjat na równoległym planie dziejowym: spowodowały one poprawę polityczno-społecznych stosunków w całej Europie, zbliżyły świat zachodni do wielkiej kultury bizantyjskiej i arabskiej, a przede wszystkim stały się dla Zachodu świetlaną legendą, wspaniałym mitem wychowawczym. I choć mit ten wyrósł nie na gruncie prawdy historycznej, wpływy jego okazały się nadzwyczaj owocne.

Zdaniem Święcickiego, wszystkie te fakty nie wyczerpują jeszcze doniosłości krucjat: „Fikcja może być ponad wszelką wątpliwość kulturalnie bardzo płodna, ale to nie znaczy, aby pod względem moralnym mogła być czynnikiem dodatnim". Tym jednym zdaniem przekreśla nieostrożnie Święcicki potrzebę i w ogóle możliwość powstania jakiejkolwiek koncepcji powieści katolickiej. No bo jeśli by fikcja poetycka (a przecież ona stanowi substancję powieści) nie posiadała żadnego waloru moralnego, jeśli by nie mogła się stać jedną z dróg do osiągnięcia doskonałości moralnej — to literatura jest katolikowi w ogóle niepotrzebna. Wygłaszając powyższe twierdzenie, Święcicki wciąga się mimo woli w błędne koło, gdyż uprzednio sam wymawiał Szczuckiej niedostateczny wysiłek wyobraźni i ubolewał, że nie zajęła w *Krzyżowcach* charakterystycznej postawy każdego urodzonego epika.

Ten ostatni zarzut polega zresztą na grubym nieporozumieniu, gdyż właśnie postawę epika, a nie żadną inną, przejawia Szczucka w *Krzyżowcach*, przyjmując pełną odpowiedzialność za stworzony przez siebie świat, a zarazem zachowując wobec niego stosowny epicki dystans, nie ingerując w jego autonomię żadnym autorytetem teraźniejszości. Wszystkich swych bohaterów (a jest ich, jak to bywa zwykle w wielkich fryzach epickich, szereg arcydługi) owiała aurą głębokiej uczuciowości, poprzez mgły swego wzruszenia wywiodła ich postaci z fantazji (wyjątkowo udane są sylwetki braci Strzegoniów). To nic, że ta fantazja nasycona jest historiografią. Z tkliwą pobłażliwością wybacza swym bohaterom wszystkie grzechy i słabości (co się tak Święcickiemu nie podoba), ułomnym zostawia ułomności, pięknym — urodę, nieszczęśliwym — smutek, szlachetnym — wzniosłość.

Czyż nie tak właśnie patrzył Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* na litewskie zaścianki i mateczniki puszczańskie, na wypieszczony we wspomnieniach malowniczy rezerwat ludzki, jakim są ci jego wszyscy Soplicowie i Dobrzyńscy, Doweykowie i Domeykowie? Cóż innego mogła Szczucka przesłać w zamierzchłą przeszłość swym zbrodniarzom i szaleńcom, bohaterom i półaniołom — jeśli nie przebaczenie dla jednych, a miłość dla drugich? Przebaczanie jest najwyższym przywilejem człowieczeństwa, tak jak zbawianie jest najwyższym przywilejem boskości. Jeśli Szczucka wybacza wszystko grzesznikom, co sobie krzyże na piersiach przypięli — to znaczy, że solidaryzuje się ze swą wizją.

Wychodząc na chwilę z kręgu samych negacji, w jednym ze swych artykułów daje Święcicki — co prawda niepełną — definicję powieści katolickiej: „Powieść katolicka winna porywać i przekonywać katolickiego czytelnika o prawdzie Kościoła, i to wcale niekoniecznie zamierzoną tendencją artysty, ale samą swoją strukturą, wewnętrzną wymową swoich faktów". W ostatecznym więc obrachunku fikcje poetyckie aprobuje, żądając tylko, by te fikcje swoją wewnętrzną wymową prawdom objawionym przyświadczały. Znaczyło by to cryba, że uważa za pożądane, by wizje pisarzy katolickich wolne były od wszelkich nalotów dydaktyzmu, by pisarze ci byli wychowawcami nie przez kalkuł mózgowy, lecz przez samą strukturę wyobraźni. Tę właśnie chrześcijańską strukturę wyobraźni nazywa — jak się domyślamy — „zmysłem katolickim". Idea bardzo piękna — tylko że wtedy pisarzem katolickim czystej krwi mógłby zostać jedynie... utalentowany święty.

To stanowcze wykluczanie programowego dydaktyzmu prowadzi do pewnych trudności w ocenie powieści katolickiej, będącej zarazem powieścią historyczną — a taki właśnie wypadek zachodzi, gdy się omawia *Krzyżowców*. Święcicki atakuje Szczucką za epilog jej powieści (wyłączony właściwie z całości kompozycyjnej), w którym „zdobycz Jerozolima staje się dla podłego karierowicza w sutannie odskocznią do odegrania dominującej roli". Szczucka ma tu na swoją obronę zgodność z prawdą historyczną, poza tym zaznacza w posłowiu, że „Rzym usunął potem ambitnego patriarchę". Czy, według Święcickiego, winna była pominąć to milczeniem, czy też popaść w konflikt z historią? Bo jeżeli tak, to byłby to akt świadomej tendencji dydaktycznej, i to akt o niedwuznacznej wartości moralnej. Autorka wybiera drogę inną: otwierając w epilogu tak smutną perspektywę na przyszłe dzieje Królestwa Jerozolimskiego, nie likwiduje bynajmniej odrodzeńczego mitu krucjaty, gdyż właśnie „wewnętrzna wymowa faktów" (której uwzględniania domaga się Święcicki) każe jej wierzyć w zbawienne owocowanie rozpoczętego przez krzyżowych rycerzy dzieła.

W postawie duchowej Szczuckiej wykrywa Święcicki utajone czy nawet podświadome tendencje pacyfistyczne, które rzekomo wpłynęły na jej wizję w sposób rozstrzygający. Każdemu, kto sobie przypomni, jaką pasją i żywiołowością odznaczają się w *Krzyżowcach* wszystkie partie batalistyczne, z jak imponującym zacięciem epickim pokazano tu wojnę i sprawy wojennego rzemiosła — ten uzna takie twierdzenie za gołosłowne.

Powrót Imbrama do domu, który Święcicki zestawia nawet z pewnymi scenami u Remarque'a, wypadł tak przygnębiająco i beznadziejnie nie tylko dlatego, że Imbram uległ zupełnie powojennemu załamaniu psychicznemu, lecz także dlatego, że wraca on przecież z duszą obciążoną zdradą Ofki i zbezczeszczeniem zwłok Zbyluta, a w ojczyźnie zastaje tylko — cichą mogiłkę żony... Najgłębszy tragizm jego powrotu tkwi w tym, że jedyny człowiek, który mocen byłby przynieść mu rozgrzeszenie, ocalić duszę i przywrócić radość życia, — Ofka, — nie żyje. Trudno wymagać, by wewnętrznemu poczuciu Imbrama, że trwa w stanie straszliwego grzechu, Szczucka nadała barwy pogody i wzniosłości. Zresztą — nawet gdyby to przeżycia wojenne były istotnym powodem klęski życiowej Imbrama, to i tak los wyznaczony mu przez Szczucką nie byłby wcale dowodem afirmowania przez nią idei skrajnego pacyfizmu. Wojna jest wielką próbą sił i charakterów, jednych hartuje, innych łamie, i było by fałszem artystycznym, gdyby Szczucka nie uzmysłowiła tej prawdy.

Jeśli się nawet zgodzimy, że w powieści jej przejawia się ideologia pacyfistyczna, to i tak nie ma potrzeby uzależniać *Krzyżowców* od antykrucjatowego stanowiska Stratmanna, ani tym bardziej poczytywać owego pacyfizmu za sprzeczność z duchem chrześcijańskim. Żaden z pisarzy Kościoła nie pochwalał wojny bez zastrzeżeń, a niektórzy — jak Laktancjusz — potępiali wojny bezwzględnie. Św. Tomasz autoryzuje wojnę sprawiedliwą *i prowadzoną humanitarnie* — a chyba krucjaty humanitarne nie były,

SPÓŁKA AKCYJNA DLA EKSPLOATACJI PAŃSTWOWEGO MONOPOLU ZAPAŁCZANEGO W POLSCE

podaje do wiadomości:

Od **dn. 1-go lipca b. r.** ceny zapałek pozostają obniżone o 20%, a zatem **w detalu** pudełko zamiast gr. 10, sprzedawane będzie **po gr. 8** a pudełko zapałek t. zw. „kresowych" zamiast gr. 5, będzie sprzedawane **po gr. 4.**

choć w nich nie stosowano (podobnie jak w wojnach współczesnych) najnowszych zdobyczy chemii i bakteriologii. Taki sam pogląd na wojnę widzimy np. u Skargi („Niemasz tak wielkiej nędze, której by wojna nie przynosiła"; „...wojna na czas potrzebna, ale pokój zawżdy lepszy").

Koroną wszystkich zarzutów, które skłaniają Święcickiego do wystąpienia z tak surową opinią o duchowej postawie Szczuckiej, stanowi przygniatający pesymizm *Krzyżowców*. Ten pesymizm każe mu postawić pod znakiem zapytania katolickość powieści. Nie podobna wprost pojąć, dlaczego światopogląd pesymistyczny ma być sprzeczny z integralną „postawą katolickiej duszy". Czy Kościół kiedykolwiek nauczał, że człowiek jest istotą z natury dobrą? Gdyby pierwsza krucjata wykazała niezłomny hart religijny wszystkich uczestników, Jerozolima nie wpadłaby ponownie w ręce wyznawców Islamu i następne krucjaty byłyby niepotrzebne. Przecież nawet ukrzyżowanie Chrystusa nie zdołało na wieki utwierdzić chrześcijan w cnocie.

„Natura ludzka — pisze Szczucka — tylko na mgnienie oka może stać się czysta i lotna... Sięga nieba na równi z aniołami i równocześnie opada bezskrzydle na ziemię, podlejsza niż kiedykolwiek". Pomyślmy: tych samych prawie słów używa nihilista i światoburca Céline — a jednak między nim a Szczucką leży przepaść nieprzekraczalna. Céline pała do całego świata obłędną nienawiścią — Szczucka świat kocha głęboko jako dzieło Boga i inaczej być nie może, skoro się wierzy, że krwią Zbawiciela świat ten został po wszystkie czasy odkupiony. I czy można położyć jakieś granice Bożemu miłosierdziu?

Wiara stępia w człowieku ostrze samobójczego pesymizmu, bo nieprawościom ziemi przeciwstawia świat inny: niebo. Lecz jakże trudno wierzyć, skoro „wiara jest gwałtem zadanym rozumowi" (Zdziechowski)! Przyznajmy, że to zdanie trąci jansenizmem. Ale — wbrew tezom powierzchownych krytyków — pesymizm Mauriaca i bliskiej Mauriacowi Szczuckiej nie ma piętna jansenistycznego. Dzisiejszy katolicyzm francuski zerwał z jansenizmem nieodwołalnie. Pascal twierdził, że wiedza nie udoskonala duszy i może tylko utrudnić osiągnięcie zbawienia; dzisiejsi myśliciele katoliccy, tacy jak np. Maritain, budują coraz idealniejszą harmonię między wiarą i wiedzą, między wiarą i sztuką. Tylko dzięki tym usiłowaniom tak drobiazgowo rozważa się teraz wszędzie np. zagadnienie literatury katolickiej, lub też zbieżności scholastyki i logiki wielowartościowej. Jednak wszystkie te próby nie są w stanie wykorzenić w nas niewiary w człowieka i zwątpienia o przyrodzonej dobroci natury ludzkiej, a nawet o jej zdolności do stałego trwania w stanie łaski. Z tej niewiary w człowieka rodzi się nieukojony pesymizm duszy katolickiej.

Wiara i praktyka życia chrześcijańskiego jest bardzo trudna i pisarze muszą się z tym pogodzić. Nie wolno im tej prawdy zasłaniać pocieszającą złudą. Jeżeli i Szczucka, głosicielka pesymizmu *pur sang* katolickiego, i ci, co chcą propagować wśród wierzących krótkowzroczny, byczochlopski optymizm, są po stronie żołnierzami Kościoła Wojującego — to w każdym razie nie spod tej samej chorągwi.

ROMAN KOŁONIECKI

ADRIAN CZERMIŃSKI

KSIĄŻKI CIEKAWE

RAPSOD KAPITALIZMU

Przed kilku tygodniami umarł John D. Rockefeller, najbogatszy człowiek świata, największy filantrop współczesny, najbardziej bezwzględny i twardy businesman, jeden z najsędziwszych wiekiem i najżywotniejszych fizycznie i umysłowo ludzi naszej epoki. Życie Rockefellera należy do najbardziej nieskomplikowanych żywotów wielkich ludzi a zarazem jest pełne dziwacznych sprzeczności i nieoczekiwanych paradoksów. Kim był John D. Rockefeller na tle swojej epoki — jak wyrósł z niczego aby zawładnąć złotem Stanów — co zdziałał, jak zorganizował naftę i — dobroczynność, można najłacniej dowiedzieć się z jego własnych pamiętników i licznych biografij, poświęconych mu w literaturze zagranicznej. Jedną z ostatnich publikacyj o Rockefellerze, najbardziej obiektywnych i rzeczowych, jest książka R. Courau p. t. *John Rockefeller le roi de petrole.* (Paris 1934, Payot).

8 lipca 1839 r. w maleńkiej wiosce Richford nad jeziorem Erie przychodzi na świat chłopak, skazany na szare życie farmerskie. Ciężka praca skierowuje późniejszego miliardera do miasta w poszukiwaniu lżejszego i bardziej popłatnego zajęcia. Ukończywszy szkołę handlową — nauk humanistycznych nie cierpiał od dzieciństwa i bał się książki jak ognia — stara się Rockefeller o posadę. Cleveland ogarnęła w tym czasie fala kryzysu i biedny młodzieniec musi kołatać do niejednych drzwi, zanim uzyska posadę pomocnika buchalteryjnego za wynagrodzeniem pół dolara dziennie.

Jak wygląda w tym czasie życie młodego pomocnika buchalteryjnego? Rockefeller cały wolny od zajęć czas spędza na studiowaniu ksiąg handlowych, zestawianiu taryf i podpatrywaniu tajników przedsiębiorstwa. Duchowe życie zawiera się dla Rockefellera w czytaniu biblii i nuceniu kościelnych hymnów, w pilnym uczęszczaniu na nabożeństwa baptystów, w ekstatycznym wysłuchiwaniu kazań i składaniu drobnych datków na cele kościelne.

Po kilku latach następuje przełom w tej szarej, nic nie znaczącej egzystencji. Jego szef odmawia mu podwyżki — ośmiu dolarów miesięcznie — i Rockefeller zakłada konkurencyjne przedsiębiorstwo. Młdy kwakier przemienia się w zapobiegliwego bussinesmana, rozbudowuje swoje przedsiębiorstwo, organizuje całą sieć środków transportowych i zaczyna zarabiać — tysiące. W tym to czasie żeni się z panną Spelman, córką bogatego kupca, taką samą kwakierką i putytanką jak on i angażuje swoje niespodziewane zyski w — nafcie. Nafta 1862 r. jest domeną zupełnie nową i jeszcze nie wyekspioatowaną.

Trudno w dzisiejszych czasach zdać sobie sprawę z przewrotu, jakiego dokonało w gospodarstwie swiatowym odkrycie źródeł nafty.

Do Pennsylvanii i Ohio zbiegają się ludzie ze wszystkich stron Stanów w poszukiwaniu bogactwa. Kapitaliści, wiertacze, przedsiębiorcy, inżynierowie, robotnicy, woźnice, handlarze, niebieskie ptaki i markietanki ciągną barwnym, nieprzeliczonym pochodem w poszukiwaniu skarbów. Osady, wsie i miasta powstają w mgnieniu oka, wieże wiertnicze przesłaniają horyzont, a w ciągu jednego roku 6.000 szybów naftowych dziurawi ziemię na brzegach jeziora Erie.

Rafinerie naftowe, pobudowane w pobliżu terenów kopalnianych, przeżywają gwałtowne wstrząsy, nie mogąc sobie poradzić z transportem drogocennego płynu. Transport ten odbywał się wówczas za pomocą beczek, załadowanych na furgony, które długim wężem wiły się po rozmokłych i wyboistych drogach ówczesnej Ameryki. Jeżeli jeden wóz utknął w dziurze, zatrzymywał się cały pochód, a krzyki i przekleństwa woźniców rozlegały się na kilka mil dookoła. Kolei jeszcze wówczas nie było na tych terenach a rurociągi naftowe były systematycznie niszczone, przecinane i podpalane przez zorganizowane bandy woźniców.

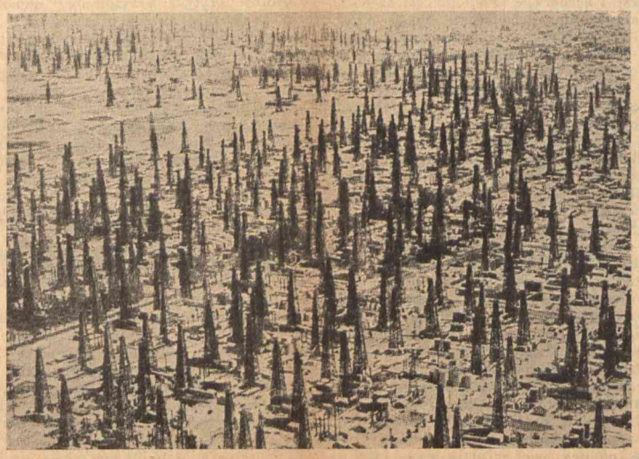

SZYBY NAFTOWE W KALIFORNII

W tym okresie młody Rockefeller postanawia zaangażować swoje 35.000 zarobionych dolarów w przedsiębiorstwie naftowym. Ostrożny i przewidujący wszelkie okoliczności, rezygnuje z wielkiego ryzyka i zamiast rzucić się na wiercenie — mogące w jednym dniu uczynić go milionerem — ale również nędzarzem, — inwestuje kapitał w rafinerii. W ten sposób, mając stale zapewniony dopływ ropy naftowej, może ją z całym spokojem sprzedawać z małym, lecz pewnym zyskiem. Takie są pierwsze plany młodego nafciarza. Niebawem jednak siecią swych wpływów i pieniędzy opanowuje środki transportowe, uzyskuje cichą kontrolę nad konkurentami i staje się panem całego niemal okręgu naftowego. Skromny początkowo właściciel jednej z licznych rafineryj, zdobywa sobie coraz nowych klientów, buduje drugą rafinerię a niebawem otwiera zastępstwo handlowe w Nowym Yorku. Od tej chwili poczyna się nowa karta w dziejach Rockefellera.

Okres ten zbiega się z ekspansją naftową, walczącą o zdobycie dostępu do morza. Marzeniem wszystkich ówczesnych producentów jest przeprowadzenie rurociągów, które by odprowadzały naftę wprost do portów oceanicznych, staraniem zaś właścicieli miejscowych rafineryj jak najszybszy, najtańszy i najdogodniejszy transport oczyszczonej nafty do miejsc przeznaczenia. Rockefeller orientuje się błyskawicznie w sytuacji i wchodzi w porozumienie z kolejami, które za cenę udziału w zyskach dają mu specjalne taryfy przewozowe, utrudniając jednocześnie transporty jego konkurentom. Udaje się również Rockefellerowi udaremnić budowę rurociągów i w ten sposób zyskać wyłączność eksploatacji. Posunięcia jego, kolidujące niejednokrotnie z ustawami, prawem i etyką, doprowadzają do tego, że Rockefeller znajduje się na ławie oskarżonych, jednakże dzięki zakulisowym machinacjom za każdym razem udaje mu się uniknąć wyroku.

Znaczenie Rockefellera, dwudziestokilkuletniego podówczas młodzieńca, poczyna wzrastać z dnia na dzień. Młody nafciarz dysponuje już milionami i mnoży je w sposób najbardziej nieoczekiwany: utworzenie trustu naftowego, walka z „niezależnymi" nafciarzami, przeciwstawienie się opinii publicznej i władzom — oto stopnie, po których kroczy bogactwo i sława krwiożerczego milionera. Albowiem Rockefeller nie waha się w wyborze środków, które by mogły zrujnować jego konkurenta; krzywdzi, przekupuje, i gwałci wszystko, co tylko stanie mu na drodze. Opanowawszy nieomal cały rynek naftowy Stanów w ciągu tych kilku lat, 1870 — 1877, staje się Rockefeller dyktatorem eksportu a niebawem i — produkcji nafty.

Miliony rockefellerowskie, gromadzone z taką zręcznością i łatwością, stają się niebawem solą w oku nie tylko jego konkurencji. Wychodzi ustawa, zabraniająca tworzenia trustów, Rockefeller zwalczany jest przez prawo, administrację i opinię. Przez przeciąg lat kilkunastu przyszły multimilioner walczy o każdy dolar wydzieranego mu bogactwa, nie dając się zepchnąć z drogi, na którą wkroczył. Miliony jego mnożą się, a wpływy i stosunki sięgają aż do Białego Domu.

Równocześnie energiczni i przedsiębiorczy ludzie organizują cały szereg dziedzin życia gospodarczego, wstępując w ślady Rockefellera. Powstają trusty stali, żelaza i węgla. Dyktatorowie finansowi wywierają coraz większy wpływ na życie publiczne. Ameryka staje się krajem potentatów finansowych, dyktujących polityce i wewnętrznemu życiu obywateli swoje prawa. Pierwszym pośród tych znienawidzonych satrapów złotego cielca jest John D. Rockefeller.

Rok 1895 staje się dla krezusa naftowego końcem jego zawrotnej kariery. Osiągnąwszy nieprzeliczone cyfry milionów, wycofuje się nagle z pola walki, przekazując nieomal wszystko swemu synowi. Czy Rockefeller wyczuł zmierzch kapitalizmu, zaczynający się w kilka lat później zarysowywać w Stanach, czy nie chciał więcej jątrzyć przeciw sobie opinii publicznej, domagającej się uspołecznienia wielkich kapitałów? Dziwnym zbiegiem okoliczności wycofanie się Rockefellera z interesów naftowych zbiega się z jego chorobą — milioner dostaje niedługo potem komplikacyj żołądkowych i lekarze ratują go od śmierci niezwykłą dietą: Rockefeller może odżywiać się jedynie kobiecym mlekiem. Wkrótce wypadają mu włosy, rzęsy i brwi — najbogatszy człowiek świata staje się mumią sztucznie podtrzymywaną przy życiu. Jednakże wewnętrzne siły jego przełamują chorobę i Rockefeller odzyskuje zdrowie, oddając się z konieczności znienawidzonym ćwiczeniom sportowym. Odtąd do końca swego życia będzie musiał pobożny kwakier grać w golfa, a niedawny grabieżca cudzych kapitałów rozdawać setki milionów na cele dobroczynne. Albowiem w razie śmierci multimilionera podatek spadkowy pochłonąłby takie sumy, że lepiej od razu je rozdzielić. Wtedy to Rockefeller staje się filantropem i — całkiem niespodziewanie Wielkim Jałmużnikiem U. S. A.

Przezwisko to, którego doczekał się ten najbezwzględniejszy z amerykańskich bussinesmanów zasługuje w zupełności na usprawiedliwienie. Krocie milionów, wydanych przez niego na cele publiczne, oszołamiają najzawziętszego wroga przedsiębiorczości prywatnej. Odsunąwszy się od udziału w biegu swych interesów, poznaje Rockefeller przełożonego kościoła baptystów, wielebnego Gates, i pod jego wpływem poczyna organizować trust dobroczynności *(Benevolent Trust).* Rozproszone dotychczas ofiary milionera zostają scentralizowane. Rockefeller funduje uniwersytet w Chicago dotując go sumą 40 mil., zakłada Instytut medyczny *(Rockefeller Institute for Medical Research)* przeznaczając nań drugie 40 milionów, powołuje do życia *„General Education Board"*, ustanawiając fundusz stypendialny w kwocie 120 milionów, 80 milionów przeznacza na zakład wychowawczy *„Laura Spelman — Rockefeller Memorial"*, a w końcu 1913 roku zakłada słynną *„Rockefeller Foundation"* mającą swoje siedziby we wszystkich większych miastach całego świata. Fundacja ta niesie pomoc ofiarom katastrof żywiołowych, wojny, epidemij i t. p., z zasiłków tej fundacji odbudowuje się zniszczoną podczas wojny katedrę w Reims, fundusze jej idą na odnowienie Versalu i Trianon, Liga Narodów korzysta nieraz z pomocy Funduszu Rockefellera itd. itd.

Podobnie jak w gromadzeniu fortuny napotykał Rockefeller na ustawiczne przykrości i zarzuty, tak samo w rozdawaniu zdobytych dóbr nie idzie mu łatwo: opinia publiczna oskarża milionera, że oddaje pieniądze jedynie ze strachu przed mogącymi wejść w życie ustawami, że chce sobie kupić popularność itp. Co gorsza, baptyści, których obdarzył hojną ręką, wzdragają się przed przyjęciem „tych brudnych pieniędzy", ściągając na głowę dobroczyńcy przekleństwa zamiast błogosławieństw. Wszystko to wyczerpuje do tego stopnia energię tego niezłomnego człowieka, że wycofuje się całkowicie z życia publicznego, rozdarowując resztę posiadanych pieniędzy. W chwili śmierci pozostawił ten multimiliarder zaledwie — 25 milionów dolarów.

Ostatnie dnie żywej mumii upływają na monotonnym, z zegarkiem w ręku regulowanym trybie życia. O siódmej „pobudka", potem pięć posiłków przegrodzonych spacerami, golfem i automobilową przejażdżką, a o dziesiątej wieczór sen. Żadnych kłopotów finansowych, żadnych wzruszeń, żadnych nowych dobroczynności, żadnego życia umysłowego. Jedyny zbytek i przyjemność, na którą pozwalał sobie milioner, to ogrody, jedne z najpiękniejszych w Ameryce. Poza tym nic, prócz życzenia, by w setną rocznicę urodzin mógł jeszcze osobiście dyrygować orkiestrą, która by grała stare pieśni z czasów jego młodości. Jest to jedyne jego życzenie, które nie zostało spełnione...

Minął Rockefeller, minęła twórcza epoka wielkich kapitałów i rozmach inicjatywy prywatnej. Wszystko to dziś wydaje się jakąś bajką, fantazją ze stu i jednej nocy. Pozostała jedynie nafta, ujęta w karby techniki i paragrafów, oraz rockefellerowskie miliony, rozprzestrzenione w jego fundacjach na całym świecie.

ADRIAN CZERMIŃSKI

ZBIGNIEW JASIŃSKI

NIEPROPAGANDOWA PROPAGANDA

Od jakichś dwu lub trzech lat na rynku księgarskim daje się zauważyć wzmożone tempo narastania wydawnictw dotyczących morza i jego spraw, a popularnie zwanych „marynistycznymi". Najrozmaitsze spotykamy tu książki: mamy więc podręczniki fachowe z dziedziny żeglarstwa, nawigacji, locji, astronomii, mamy słowniki marynarskie, dziełka z zakresu budownictwa okrętowego i maszyn okrętowych, z dziedziny techniki portowej, organizacji portu, dalej o rybactwie morskim, przemyśle morskim, handlu, ekonomii, polityce handlowo- i wojenno-morskiej, itd., itd., mamy wreszcie całe stosy broszur propagandowych, ujętych rzeczowo a popularnie, których głównym celem jest nie pogłębianie fachowości specjalistów na danym odcinku wiedzy morskiej, lecz zasadnicza popularyzacja całokształtu spraw morza, zwłaszcza ideowych — wśród najszerszych mas społeczeństwa.

Kto obserwuje uważnie stopniowe przenikanie spraw morskich, a i kolonialnych, w głąb tego społeczeństwa, ten niewątpliwie wie o tym, że mimo tyloletnich już w tym kierunku wysiłków — Polska, spośród wszystkich swych obywateli, liczy zaledwie niecałe 2 proc. takich, którzy sprawami morza i kolonii interesują się bliżej. Pozostałe przeszło 98 proc., w większości swej, do spraw tych wprawdzie odnosi się z takim lub innym stopniem natężenia uczuciowego, na ogół jednak przybrało stanowisko „przyjaznej neutralności", patriotyzmu jałowego, bo biernego.

Stąd wniosek prosty, że propaganda morza i kolonij nie może ustać, że, przeciwnie, winna stać się jeszcze bardziej usilna, jeszcze bardziej czynna, powiedziałbym: bojowa, by idea morska i kolonialna objęła wreszcie co najmniej większość narodu. Toteż rozumna propaganda, w swej najbardziej rzeczowej formie, ma jeszcze szerokie pole do wytrwałej działalności, na lat jeszcze wiele.

Propaganda jednak nie zawsze rozporządza odpowiednimi środkami działania, i dlatego nie zawsze spełnia swe zadanie. Pewne hasła, głoszone z jednostajną bezbarwnością, pewne chwyty publicystyczne, stosowane dzień w dzień jednako, bez urozmaicenia — spowodować mogą (i powodują) przytępienie, a nawet zupełny zanik wrażliwości u tych, dla których są przeznaczone. Dzieje się to tak, jak z głośnikiem radiowym: pewne audycje powodują znużenie, a czasem wprost szewcką pasję; nie panujący nad sobą słuchacz nerwowym ruchem zamyka wyłącznik, zrażając się nie tylko do danej audycji, ale czasem i do radia w ogóle.

Propaganda, choćby zresztą szerzyła ideologie najszczytniejsze, jeśli operuje tylko jednym lub niewielu środkami przekonywania, stosowanymi jednakowo wobec najrozmaitszych przecież umysłów, z których każdy reaguje odrębnie, — nie spełnia swego zadania w stopniu dostatecznym.

O ile szerzenie spraw morza i kolonij w specjalnych broszurach propagandowych jest całkowicie na miejscu, i w naszej publicystyce specjalnej stosowane jest na ogół umiejętnie i rzeczowo, — o tyle w marynistycznej literaturze pięknej sprawa ta przedstawia się niemal beznadziejnie, a w każdym razie żałośnie.

Rzecz szczególna, że wśród wielu już setek polskich pozycji bibliograficznych, dotyczących morza — zaledwie kilkanaście dopiero jest z zakresu beletrystyki i poezji, wśród tych zaś nieledwo parę zanalazło by się istotnie wartościowych i zasługujących na wyróżnienie.

Publicystyczne bowiem tendencje propagandowe zwykle więżą i dławią w swych ramach walory artystyczne, z góry skazane na miejsce mniej ważne, bo dalsze. Utarty szablon propagandowy, gruba a niezręczna łatwizna, nie wysilająca się na jakąkolwiek w tej dziedzinie inność, — wszystko to w takich czy innych szatkach pseudoartystycznych — oto progi, o które raz po raz potyka się nasza młoda marynistyka w literaturze pięknej.

Najbardziej krytycznie do wszelkiej propagandy odnoszą się sfery inteligenckie, te właśnie które są najpoważniejszymi odbiorcami wydawniczych nowości beletrystycznych, (o popycie na poezję nie warto wspominać). Stale napotykanie tych samych i nieodmiennie tak samo ujmowanych zagadnień ideowo-morskich w książkach, kupowanych przez tych samych ludzi — musiało wreszcie doprowadzić do tego, że dzisiaj o twórczości marynistycznej w beletrystyce mówi się bez przekonania. Istotnie, marynistyka „piękna", tak pojmowana, zaufania nie budzi.

Gdybyż chociaż tendencje propagandowe były dobrze zamaskowane walorami artystycznymi, gdybyż były dowcipnie przemycane w szacie naprawdę literackiej, rzecz nie przedstawiałaby się tak smutno. Dzieje się jednak inaczej: jak szydło z worka, tak z beletrystyki marynistycznej wyłazi propagandowy banał, na dobitkę zaś większość naszych autorów książek „morskich", a i wydawców, i kwalifikujących książki te do druku — daleka jest od gruntownego znawstwa morza i jego spraw. Zaledwie jaka-taka, pobieżna znajomość.

W dziedzinie marynistyki beletrystycznej — bodaj najbardziej upośledzona artystycznie jest powieść. W poezji znaleźć można niejedną perlę prawdziwą,—w t. zw. reportażu literackim mamy kilkanaście ciekawszych książek (tu zresztą propaganda jawna może być stosowana z pewnym powodzeniem), — powieści natomiast morskie, poza dwiema czy trzema, najczęściej są wzorami, jak ich pisywać nie wolno.

Jakie zatem założenia winna postawić sobie nasza powieść morska? Sądzę, że przede wszystkim winna zrzucić z siebie wszelkie obowiązki propagandyzmu, że cały zmysł twórczy powieściopisarzy o tematyce morskiej winien skierować się wyłącznie w kierunku artyzmu utworu. Dobra powieść marynistyczna winna się różnić od dobrej powieści nie-marynistycznej — tylko odrębnym, morskim tłem, morskim środowiskiem, różnym od tła i środowiska „lądowego".

Należy bowiem zdać sobie sprawę z tego, że dobra powieść o morzu, nie zachwaszczona kwiatkami propagandyzmu, stanowi daleko lepsze bo mimowolne narzędzie tej właśnie propagandy. Powieść taka, nie nużąc wywodami polityczno- czy gospodarczo-ideowymi, zaczerpniętymi zazwyczaj z publikacyj specjalnych, powieść, pozbawiona publicystycznego natręctwa i patriotycznej frazeologii, uczy o morzu i jego sprawach daleko żywiej, daleko łatwiej, daleko skuteczniej. Z drugiej zaś strony tylko taka powieść morska, istotnie morska a nie propagandowa, — o ile napisana jest z talentem rzetelnym — może być zaliczona do literatury, którą zwiemy piękną.

Zarówno nastroje czytelników, jak i właściwa opinia krytyków literackich, do dzisiejszej polskiej beletrystyki marynistycznej odnoszą się niechętnie, a w najlepszym razie z wyrozumiałą pobłażliwością, wytłumaczalną młodym patriotyzmem morskim, lecz dla ogółu pisarzy-marynistów bynajmniej nie zaszczytną.

Wysiłki więc zarówno pisarzy-marynistów, jak i wydawców ich książek, winny pójść po trudnej, lecz jedynej drodze nadrobienia szkód, wynikłych w opinii literackiej na skutek dotychczasowego pojmowania marynistyki pięknej.

Sądzę, że jednym z odpowiednich środków ujawniania dobrych powieści morskich jest metoda wyróżniania. Tak więc instytucja nagród literackich za utwory marynistyczne (istnieją już dwie takie fundacje: im. J. Szareckiego przy Tow. Literatów i Dziennikarzy w Warszawie oraz im. St. Żeromskiego przy Radzie Miejskiej m. Gdyni) nadal winna spełniać rolę bodźca moralnego i materialnego dla twórców, przy surowej selekcji w ich nagradzaniu. Stwierdzić bowiem można, że mimo pewnych zastrzeżeń natury zasadniczej w stosunku do nagród w ogóle, instytucja nagród marynistycznych — jak dotychczas — przysporzyła korzyści literaturze pięknej, przyczyniając się do zwiększenia jej stanu posiadania o wartości istotne.

Najważniejszymi jednak sprawami w podniesieniu poziomu artystycznego naszej marynistyki są: etyka pisarska autorów utworów morskich oraz ich ambicje do wykrzesania ze swych talentów — tonów najwyższych, najczystszych, najszlachetniejszych.

Wydanie miernego utworu drukiem, zapłacone przez wydawcę, równa się nieusprawiedliwionej nagrodzie, która, jakkolwiek w zasadzie jest przeznaczona dla nielicznych talentów prawdziwych, mimo to stanowi niedwuznaczny doping-przynętę dla „twórczości" całej plejady talenciików miernych a przedsiębiorczych, często będących nie znawcami spraw morskich, lecz zaledwie ich znachorami.

Toteż jeżeli nie można liczyć na znawstwo tematyki morskiej przez wszystkich piszących o morzu, lub na ich uczciwość pisarską, nie dozwalającą żerowania na koniunkturze i wykorzystania naiwności bliźnich, — w tych wypadkach naturalną klapą bezpieczeństwa winna być należyta, fachowo-morska opinia ludzi, kwalifikujących do druku utwory marynistyczne. Wydawcy zaś ze swej strony również winni wzmóc swą baczność, by przez odpowiednią selekcję utworów, przez bezapelacyjną eliminację miernot i wszelkiego beztalencia — podnieść ogólny poziom artystyczny wydawanych przez siebie utworów morskich.

Pomnażanie bowiem polskiej beletrystyki marynistycznej bez wyboru, bez umiaru, a tylko dla dosycenia rynku księgarskiego — jest — jeśli już nie dla literatury, to na pewno dla spraw polskiego morza — bezwzględnie niekorzystne i bezwzględnie niepropagandowe.

ZBIGNIEW JASIŃSKI

HENRYK DOMIŃSKI

„LUDZIE SPOD ŻAGLI"

Czytałem kiedyś recenzję jednego z naszych miłych marynistów, który oceniając jakiś wiersz pisał mniej więcej tak: liryka ta, aczkolwiek posiadająca duże zalety z punktu widzenia artystycznego, posiada poważne niedociągięcia z punktu widzenia morskiego. Po czym autor wyliczał, że poeta niedostatecznie opanował słownik żeglarski, że nie zna nazw lin, masztów i wielu części okrętu.

Po przeczytaniu tej surowej krytyki ogarnęło mnie przerażenie. Jakto, więc chcąc napisać dobry wiersz morski musiałbym przed tym odbyć kilkumiesięczny kurs żeglarski, przejechać następnie na jakimś żaglowcu Bałtyk, nauczyć się fachowych przekleństw marynarzy i dopiero podjąć próbę pisania? Od tego czasu odnosiłem się z lekką ironią do wszystkich wierszy o morzu, pisanych przez moich znajomych, którzy marynarzami nigdy nie byli. Ale poza Conradem nie mogłem zdobyć w sobie uwielbienia dla żadnego z piszących marynarzy. Tak się to jakoś dziwnie składało. Dopiero książka Wandy Karczewskiej *Ludzie spod żagli*[1] obudziła we mnie ten zachwyt, w którym nie jestem odosobniony, który mogę zgodnie podzielić z opinią Ligi Morskiej i Kolonialnej oraz szeroką rzeszą czytelników.

Poważnie mówiąc, w książce Wandy Karczewskiej, nagrodzonej w tym roku przez Tow. Literatów i Dziennikarzy, objawiła się nieprzeciętna indywidualność twórcza. Jest to powieść pisana pięknym, poetyckim językiem, sprawiającym początkowo wrażenie barokowej ozdobności, ale w miarę czytania ta pierwsza sugestia zatraca się, dając w ostatecznym efekcie pełnię poczucia formy doskonale zestrojonej z zawartością treściową. Największy urok powieści leży w opisowości, w subtelnym i głęboko przeżytym przez autorkę pejzażu morskim. Żywioł wodny gra tutaj mocno, ukazuje się nam ciągle odmienny, wielotwarzowy, a zawsze pociągający, wyrażony doskonale, przemawiający do naszej wyobraźni z ogromną siłą. Spiętrzona fala obrazów wywołuje ciągle nowe wizje, oddaje trafnie, z niezwykłą plastycznością surowy i groźny czar przyrody. Stosunek Karczewskiej do morza, jak pisaliśmy to wyżej, jest nawskroś poetycki, a nawet, ściślej, liryczny. Ta powieść przypomina barwną, doskonale uchwyconą impresję. Ludzie, akcja, tocząca się na okręcie, usunięci są na plan drugi, umiejscowieni poza tłem, zajmującym tutaj miejsce naczelne.

WANDA KARCZEWSKA

A jej malarstwo słowne przedstawia wysoką klasę, wibruje kolorami, urasta chmurą zmieniających się obrazów, wyciągniętych w rysunku do ostatniej linii. *Ludzie spod żagli* spełniają chyba najlepiej z ostatnich wydawnictw marynistycznych rolę propagandową. Nie można im nawet postawić zarzutu nieścisłości fachowych. Zawiłe terminy techniczne, których jest w książce pełno, rozmieszczone zostały bardzo sprytnie, tak że nie rażą, nie przygniatają, ani nie budzą zamętu w głowie czytelnika swym cudzoziemskim brzmieniem. Ale dla marynistów książka Karczewskiej może się stać doskonałym przykładem, świadczącym, że w literaturze najlepszą propagandę spełniają utwory wyróżniające się walorem artystycznym. Tylko takie dzieła można wyróżniać i nagradzać.

Ludzie spod żagli wywołują w nas ten zachwyt dzięki stronie opisowej. Pejzaż spełnia tu rolę dominującą. Człowiek natomiast przedstawiony jest dość banalnie i, trzeba przyznać, zamknięty w niezbyt wybrednej koncepcji. Przygoda Larsa z dziewczyną portową jest jakby żywcem wyjęta z popularnych, dobrze nam znanych nowelek. Tak samo historia sztormana i jego żony. Jest jeden moment w książce, stanowiący zasadniczy nurt akcji, który można było znakomicie pogłębić psychologicznie. Marynarz Lars traci młodego brata. Jeden spośród kolegów załogowych mówi mu, że przyczyną śmierci chłopca był sztorman, znienawidzony przez wszystkich ludzi na pokładzie okrętu. Lars pod wpływem tej opowieści pragnie zemsty. W niektórych partiach książki autorka przeprowadza ciekawą analizę walki jaka odbywa się w duszy marynarza. Niestety, nie umie tego wyzyskać całkowicie. Konflikt między Larsem i pierwszym sztormanem, w finale powieści, sprowadzony został do sentymentalnego szablonu, w którym zwyciężyła naiwna młodość i — powiedzmy ku oburzeniu czcicieli literatury feministycznej — kobiecość autorki. Nie widzimy w tej powieści ludzi, nie dowiadujemy się nic o ich myślach, nie znamy ich prawdziwego wizerunku. W huku syczących zwałów wodnych, w zawiei burz, w groźnym naporze żywiołu przesuwają się przed naszymi oczami ich napięte, muskularne ręce, słyszymy ich zachrypły głos, ale człowiek wówczas stanowi tylko jeden z wielu elementów pejzażowych. Sam nie znaczy nic. Karczewska ciągle jest niepodzielnie zaprzedana otwierającym się widnokręgom morskim. Wsłuchana w szum wiatrów. Wpatrzona w chmury na horyzoncie, które niosą zapowiedzi nagłych zmian atmosferycznych. Poddaje się muzyce lin, żagli, trwa pod urokiem okrętu. To jedynie jest dla niej ważne, to przemawia do niej, to odczuwa świeżo i temu odczuwaniu potrafi nadać kunsztowny i świeży kształt. Wszystko co dotyczy ludzi, ich wzajemnych stosunków, ich walki i pracy na morzu, nosi cechy wtórne, wzięte z lektury. Być może, że wiedza o człowieku jest najtrudniejsza do zdobycia. Trzeba na osiągnięcie jej wielu lat doświadczeń, sporej znajomości życia. Inwencja artystyczna tutaj nie wystarcza. Nie ganimy więc za te braki młodej powieściopisarki. Przemówiła bowiem do nas tym wielce interesującym debiutem, prawdziwie po artystowsku, rzetelnym językiem poezji. Jej widzenie morza zawładnie na pewno każdym z czytelników, pociągnie go w krainę pięknych krajobrazów.

HENRYK DOMIŃSKI

[1] WANDA KARCZEWSKA: *Ludzie spod żagli* — powieść. Warszawa, 1937. Wydawnictwo Ligi Morskiej i Kolonialnej i Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska".

JAN BRZĘKOWSKI

MALARSTWO MAXA ERNSTA

Nadrealizm malarski kroczył zupełnie innymi drogami, niż nadrealizm poetycki Bretona. O ile nadrealiści-poeci stosunkowo rzadko urzeczywistniali w swych dziełach ową nadrealność poetycką, o tyle twórczość nadrealistów-malarzy o wiele bardziej odpowiadała dążnościom podkreślanym już w samej nazwie kierunku. Poetów nadrealistycznych wykolejała coraz to bardziej zaznaczająca się przewaga tendencji społecznej nad wartościami artystycznymi, owa „rewolucja nadrealistyczna", która później przeszła — wraz ze zmianą nazwy pisma — w „nadrealizm w służbie rewolucji", jak brzmiał oficjalny tytuł ostatniego organu grupy nadrealistycznej. Wynikiem tego było coraz to większe podporządkowywanie poezji sprawom społecznym. Tego rodzaju pojmowanie stosunku sztuki do zagadnień społeczno-politycznych doprowadziło secesjonistę nadrealistycznego Aragona do czynnego zaangażowania się w politykę i do... fotela naczelnego redaktora *Ce Soir*, Desnosa, Ribemont-Dasseignesa, Barona i in. — do wystąpienia z grupy przy akompaniamencie obelg pod adresem Bretona, a samego twórcę szkoły, Bretona, oraz pozostałych w grupie poetów nadrealistycznych, Eluarda i Pereta, — do przykrych rozczarowań na „kongresie pisarzy antyfaszystowskich" i przeciwstawienia się komunizmowi w imię permanentnej rewolucyjności. To podporządkowanie poezji służbie społecznej wytworzyło również paradoksalną sytuację, że pod wieloma względami nadrealistycznym poetą był nie Breton, Aragon czy Eluard, ale człowiek nie należący nigdy do grupy: Pierre Jean Jouve, który najpełniej wykorzystał poetycko głoszoną przez nadrealistów teorię Freuda.

Wręcz przeciwna sytuacja istniała w dziedzinie malarskiej. Główni przedstawiciele malarstwa nadrealistycznego byli w tym szczęśliwym położeniu, że mogli niezależnie korzystać z twórczego bodźca, jakim był *Manifest nadrealizmu* Bretona. Pracując w innej dziedzinie, nie ulegali wpływom szefa szkoły, nie byli narażeni na konflikty z nim i mogli bardziej samodzielnie tworzyć własne malarstwo nadrealistyczne. Dlatego nadrealizm malarski wypracował nową koncepcję malarstwa, mniej może związaną z samym manifestem grupy, ale za to bardziej zwartą i charakterystyczną. Malarstwo nadrealistyczne, w przeciwieństwie do sytuacji istniejącej w zakresie poezji, różni się bowiem od kubizmu czy kierunków post-kubistycznych nie tylko samą metodą tworzenia, ale także i formą. Obraz nadrealistyczny można natychmiast odróżnić od obrazu kubistycznego; wiersz nadrealisty pod względem formy niewiele się różni od wierszy innych poetów reprezentujących nową poezję. Powiedzmy ściślej: wiersz nadrealisty Bretona w zakresie formy nie jest bardziej posunięty naprzód niż np. niektóre wiersze Apollinaire'a, istnieje między nimi raczej różnica indywidualności tylko, taka sama jak np. między wierszem Bretona a wierszem nadrealisty Eluarda.

Malarstwo nadrealistyczne opracowało za to własną formę. Było ono wyraźnym przekreśleniem dyscypliny kubizmu, występowało zarówno przeciw deformacji, jak i geometrycznej konstruktywności malarstwa kubistycznego i postkubistycznego. Malarze nadrealistyczni przeciwstawili się jednak przede wszystkim samej formalnej tylko koncepcji sztuki, lansowanej przez kubistów, opowiadając się za wprowadzeniem do obrazu także czynników bezpośrednio zaczerpniętych z natury. Ten fakt nie przeszkodził im jednak w wytworzeniu własnej „nadrealistycznej" formy.

Pod tym względem najbardziej reprezentatywnymi malarzami nadrealistycznymi są: Chirico, Max Ernst, Mirò i Tanguy. Każdy z nich ma własną koncepcję formy i — należy to również powiedzieć — nadrealizmu. Chirico łączy antyrealistycznie przedmioty, których prawie nie deformuje. Jego konie wśród greckich kolumn, szafy i krzesła trzymające się ukośnie na równiach pochyłych w pozycji urągającej sile ciężkości i t. p. zestawienia nierealistyczne przedmiotów mają istotnie nadrealny charakter, gdyż są niezwykle jaskrawym protestem metafizyki przeciw „naiwnemu realizmowi" życia codziennego i przyrody. Joan Mirò był tym malarzem nadrealistycznym, który najdalej posunął kult formy, ale kubistycznej kanciastości i konstruktywności przeciwstawił Mirò formy zaokrąglone i — że się tak wyrażę — „solipsystyczne". Yves Tanguy wreszcie był najbardziej „freudystą" spośród nadrealistów — jego forma zespolona jest ściśle także z naukami przyrodniczymi, z embriologią, bakteriologią itp.

MAX ERNST — NIMFA ECHO

Z bretonowską koncepcją nadrealizmu najbliżej związany jest Max Ernst [1]. Ze wszystkich malarzy nadrealistycznych Max Ernst najbardziej przejął samą metodę nadrealizmu. Automatyzm pisarski Bretona, owa słynna *„écriture mécanique"* nadrealistów — znalazła swój odpowiednik u Ernsta w t. zw. *„frottage"*, t. j. zdolności kojarzenia wyobrażeń malarskich i wywoływania wizyj pod wpływem mechanicznego rysowania. Ten proces daje tym ciekawsze rezultaty, że Ernst ma wyobraźnię nie tylko malarską, ale i poetycką. Wyraża się to zarówno w samej formie jego malarstwa, jak i w tytułach, które są niezwykle sugestywne i zachowują zdolności wywoływania wyobrażeń (jak np. *Młoda chimera w sukni wieczorowej, Dwoje dzieci zagrożonych przez słowika* itp.) Dzięki temu „tarciu wyobrażeń" fantazja Ernsta obfituje w wytwory niespodziewane, ale tym silniej oddziałujące. Posiadają one przede wszystkim zdolność wzruszania i zadziwiania. Wyobrażenia malarskie Ernsta mają charakter obsesji, którą usuwa dopiero wyzwolenie jej przez otwarte przeniesienie prześladującej wizji w świat rzeczywistości malarskiej i spotęgowanie ekspresji dzięki zestawieniu z czymś równie nieoczekiwanym jak sugestywnym. Nadrealistyczny świat wyobrażeń Maxa Ernsta, owe kobiety w gorsetach z r. 1900, sny o wodzie i ogniu, szkielety zwierząt przedpotopowych, dziwaczne owady, plaże zaludnione chimerami, lasy zbudowane z miękiszu i stolice ze słojów drzewnych, ogrody „łapaeroplany" — ten arsenał dziwności świata nowoczesnego Hieronima Boscha jest światem *pełnym*. W fantazji Ernsta nie ma pustych miejsc, waty — jest ona wypełniona wyobrażeniami i formą. Niezwykłość zestawień, jakie wywołuje to „tarcie wyobrażeń", nadaje malarstwu Ernsta specyficzny charakter, stawiając je na pograniczu rzeczywistości nas otaczającej i rzeczywistości budowanej przez metafizykę. Ernst nie posługuje się jednak, jak Chirico, formami wyrażającymi bezpośrednio przedmioty istniejące w naturze, ale od razu nadaje im własną formę i to często nie tyle powodowany analogiami barw i kształtów, lecz raczej wiedziony swą fantazją poety. Jego lasy, stolice i drzewa, „wizje wywołane przez bramę St. Denis w nocy" czy metalowe ogrody nie są jednak oparte tylko na nadrealistycznej fantazji. Zazwyczaj towarzyszy jej bowiem także równie silne wyczucie formy, można by nawet powiedzieć — formy integralnej. Te obrazy należą może do najpiękniejszych.

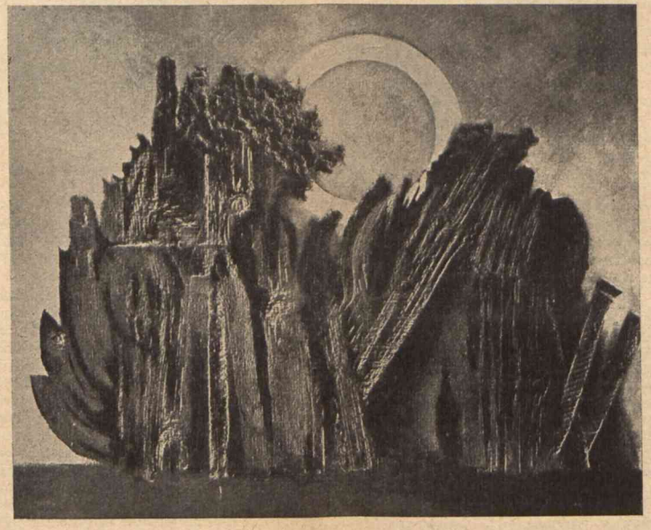

MAX ERNST — LAS I SŁOŃCE

Max Ernst jest jednym z głównych twórców, a w każdym razie głównym reprezentantem, techniki polegającej na posługiwaniu się „wycinankami", na nalepianiu ich i łączeniu przy pomocy rysunku. Te *„collages"* nie zawsze są jednak „nalepiankami". Często tego rodzaju nazwą określa Ernst obrazy, które powstały bez użycia kleju i nożyc. Są to może najbardziej „nadrealistyczne" rzeczy Ernsta.

Czynnikiem, który najbardziej uderza u Ernsta, jest natarczywość wyobrażeń i ich różnorodność. Nie używa on pewnych form do znudzenia, jak Picasso gitar czy arlekinów, ale po ich pełnym wyzyskaniu szuka i znajduje nowe formy. Ernst nie chroni się w rzeczywistość malarską przed naporem życia, jak to zawyczaj się dzieje u artystów. Wręcz przeciwnie: jego „nadrelna" wyobraźnia zawiera w sobie elementy nie obrony, lecz ataku. Nie ma tu ucieczki z jednej rzeczywistości w drugą, ale budowanie własnej rzeczywistości. Ernst czyni to aktywnie, agresywnie, twórczo. Chwilami przybiera to tak sugestywny charakter, że zatraca się świadomość życiowych konwencyj i bierze się nadrelizm Ernsta za realizm tout court. Czyż można marzyć o bardziej pełnym zwycięstwie wyobraźni?

JAN BRZĘKOWSKI

[1] MAX ERNST: *Oeuvres de 1919—1936.* Edition „Cahiers d'art". Str. 120, Paris 1937.

PRZEGLĄD PRASY

Zagadnienia teorii literatury i metodyki badań krytycznych rozwałkowuje się wciąż, do znudzenia. Zazwyczaj zabierają głos ludzie niepowołani, przy czym im kto mniej ma do powiedzenia, tym z większym występuje hałasem. Tak np. Henryk Życzyński wystąpił niedawno z prześlicznym artykułem o nowinkarstwie w polonistyce (por. *Prosto z mostu* nr. 27). Dowiadujemy się z niego, że w ruchu nowinkarskim „bierze również udział filozof, Roman Ingarden, który dawniejszą swą pracę niemiecką wydał świeżo w opracowaniu polskim (sic) p. t. *O poznaniu* (!) *dzieła literackiego*. Nb. głośna książka Ingardena *O p o z n a w a n i u dzieła literackiego* nie jest bynajmniej przeróbką lecz kontynuacją niemieckiego dzieła tego uczonego *Das literarische Kunstwerk*.

Po długim i mętnym wywodzie, w którym nie wiadomo po co cytowani są Dragomirescu i Lalo, Życzyński stwierdza: „Należy więc powiedzieć wyraźnie, że polonista-nowinkarz, pozbawiony kultury i patriotyzmu, może być tylko szkodnikiem". Mocno i pięknie powiedziane. Ale patriotyzm, we właściwym znaczeniu tego wyrazu, nakazywałby również zdawać sobie jasno sprawę ze swoich kompetencji i działać w granicach nimi określonych.

Należy tedy powiedzieć wyraźnie: kto jak kto, ale uczony o tak nadszarpanej opinii jak prof. Życzyński nie ma absolutnie prawa do udzielania autorytatywnych i aroganckich pouczeń swym kolegom zawodowym.

Inne refleksje budzą głosy młodych polonistów, wykazujących często pracowitość i dobrą wolę, ale przy tym, niestety, słabą kompetencję w zakresie swojej dyscypliny naukowej. Trudno np. zrozumieć, co mogło skłonić redakcję *Ruchu Literackiego* (ob. nr. 3—4 za marzec-kwiecień r. b.) do zamieszczenia na swoich łamach studenckiego wypracowania Lewańskiego, znakomicie mącącego i tak już zamącone sprawy. O książce Ingardena ogłosił niedawno obszerniejszą recenzję młody krakowski polonista, Józef Spytkowski (zob. *Gazeta Polska* z dn. 23 czerwca), dając na ogół wierne streszczenie i inteligentne omówienie tego dzieła; i on jednak nie ustrzegł się od takich studenckich kwiatków: „To, że dziś nie odczuwamy potrzeb metody psychologicznej, jest następstwem braku głębokiego liryzmu (sic) w dzisiejszej literaturze... Rozkwit psychologizmu w krytyce przypadł na lata kultu *osobowości* — dzisiejsza epoka scharakteryzowana w zdaniu „nie ma ludzi" musiała (!) sobie wytworzyć *bezosobowy* typ badań nad sztuką". Co ta uroczysta frazeologia ma wspólnego z rzeczywistością t. j. z rozpoczęciem, jakże spóźnionym, pracy nad polską poetyką — trudno zgadnąć.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 17 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: **Józef Czechowicz** — WYDAWCA: **Wilam Horzyca**

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.